

Milczenie

Jego straszliwe napady gniewu.

*

Ciężko pracował w lesie, był robotnikiem od wszystkiego. Mnie też chciał wszystkiego nauczyć, bo wierzył, że kiedy znowu wybuchnie wojna, tylko praca fizyczna może mnie uratować. Pamiętaj, oni rozpoznają po rękach – mawiał. Jeśli masz spracowane, idziesz na prawo, jeśli masz delikatne, inteligentkie, idziesz na lewo, do łagru albo pod ścianę. Nauczył mnie orać, żąć sierpem i kosić. Odróżniać rośliny jadalne od niejadalnych. Jadalnych jest więcej, nie zginiesz z głodu – mówił. Uczył mnie łowić ryby, szybko jednak zrezygnował, bo tu okazałem się uczniem wyjątkowo opornym. Pokazywał, jak zbudować szalas, wykopać ziemiankę. Nawet jak krzesać ogień, chociaż jemu samemu nigdy się to nie udało.

Nauczył mnie używać siekiery. Byłem małym chłopcem, a potrafiłem rąbać drewno nie gorzej, niż mój wirtualny towarzysz niedoli z *Siedmiu samurajów*. Czy także z *Siedmiu wspaniałych*? Tego już nie pamiętam. Przede wszystkim jednak, z niezrozumiałych dla mnie do dzisiaj powodów, chciał, żebym nauczył się pływać i przebywać jak najdłużej pod wodą. To może uratować ci życie, kiedy będziesz musiał uciekać – powtarzał.

W czasie moich przedostatnich szkolnych wakacji pracowaliśmy razem w lesie. Dawał mi lżejszą pracę, korowanie. Wychodziliśmy rano z domu, wracaliśmy wieczorem. W drodze powrotnej lubił się kąpać w leśnym

jeziorze. Któregoś wieczoru wskoczył jak zwykle na głowę do wody i długo nie wypływał. Myślałem, że przepłynął już do drugiego brzegu i czeka tam na mnie. Obszedłem jezioro dookoła, ani śladu. Jego rzeczy w tym czasie także zniknęły. Obszedłem drugi raz, trzeci, nadaremnie. Nie wiedziałem, co robić. Przerażony, pomyliłem w ciemnościach drogę. Długo błądziłem, zanim trafiłem do domu.

Był tam już, jak gdyby nic. Sam. Mama poszła mnie szukać po nocy. Milczał. Też milczałem. Bałem się cokolwiek powiedzieć.

Tak już zostało.

Niewiele się nauczyłem. Zginąłbym na bezludziu. Zginąłbym w ucieczce.

*

Wezwany telegramem, pojechałem prosto z dworca do szpitala. Leżał pod namiotem tlenowym. Nie spodziewał się mnie, patrzył na mnie nieobecny spojrzeniem. Wreszcie poznał. Płakał. Jego prawe płuco, odjęte przed kilkoma dniami, wędrowało już po swoich niepewnych, kalekich zaświatach.

Twarz

Nie dawała mi spokoju przez całe dzieciństwo, spędzone w poniemieckim domu moich rodziców z królującym niebieskim napisem **Sich regen bringt Segen** na kafelkach nad piecem kuchennym, którego nawet mój cudem odnaleziony ojciec nie potrafił mi przetłumaczyć. Twarz. Groteskowo (jeszcze długo nie nauczę się tego słowa) wykrzywiona twarz ze słojów drzewnych w lewym górnym rogu drzwi między pokojem, gdzie wtedy spałem, a kuchnią.

Naturalnie, że nie przez całe dzieciństwo. Zauważyłem ją tego dnia, kiedy ojciec po kilku godzinach pieszej wędrowki wrócił z najbliższego miasta ze strasznym bólem głowy i moja biedna mama próbowała na progu odczyniać uroki, jakie ktoś (jakaś baba, mówiła, bo przecież nie wilk, nie pies, nie żmija, nie żaba ani żaden ptak) musiał rzucić na niego. Najpierw do garnka z zimną wodą wrzucała rozżarzone węgielki i ledwo zdołała je zaprzecznie policzyć: nie jeden, nie dwa – i tak aż do dziewięciu, już zdążyły zatonać, co nie wróżyło niczego dobrego.

Od tego czasu twarz uporczywie świdrowała mnie wzrokiem, wodziła za mną oczami. Chowałem się przed nią w najdalszym kącie i godzinami wyglądałem przez okno. Raz ucieleśniła się jako twarz obcego mężczyzny, który nie wiadomo skąd pojawił się przede mną i długo coś perorował w swoim zawitym drewnianodrzewnym języku, z którego po ocknięciu niczego nie potrafiłem sobie przypomnieć, żadnego dźwięku czy słowa.

Bałem się krzyku. Jeszcze bardziej bałem się śmiechu. Nie umiałem nikomu się zwierzyć. Jak tylko skończyłem szkołę, wyjechałem do miasta.